Po konfiskacie nakład drugi.

Nr. 24. Kraków, dnia 15 Grudnia 1892. Rocznik I.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Floryańska. L. 55.
Wszelkie przesyłki adresować należy: Jan Englisch, ulica św. Jana, L. 15.
Listów niefrankowanych nie przyjmuje się.
Rękopisów nie zwraca się.
Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

NAPRZÓD

Prenumerata wynosi kwartalnie:
W miejscu 30 ct. Na prowincyi 40 ct. Do Niemiec rocznie mrk. 3. — Do Francyi rocznie fr. 6.
Numer pojedynczy 6 centów.
Listy reklamacyjne nieopieczętowane nie podlegają opłacie pocztowej.
Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Dwutygodnik polityczny i społeczny. — Organ partyi socyalno-demokratycznej.

Od Redakcyi.

Z numerem tym rocznik pierwszy naszego pisma oddajemy w ręce Wasze Towarzysze. Niechaj on sam przemówi za siebie, jest bowiem najwierniejszym dokumentem naszych zabiegów, trudnych i ciężkich, jak życie całej naszej warstwy, której doli, interesów i dążeń usiłował być zawsze wyrazem. Nie przesądzamy wartości owoców naszej pracy, której braki, nieuchronne w naszem położeniu, znane nam są aż nadto. Z dumą jednak, daleką miłości własnej, natomiast pełną zapału dla sprawy i wiary w Was Towarzysze, powiedzieć możemy, że szliśmy krok w krok za postępami ruchu robotniczego u nas, który zaznaczył się w dostatecznej mierze, by wszczepić w nas nadzieję lepszej przyszłości i ducha naszego do niestrudzonej walki w imię haseł socyalno-demokratycznych zagrzać. Jak na naszą biedę, ciemnotę i zależność zdobyliśmy znaczny poczet abonentów. Liczba ich tem donioślejsze, tem wymowniejsze wydaje się nam mieć znaczenie, że każdy z nich nie obojętnym, lub co najwyżej ciekawym jest czytelnikiem, ale szczerym druhem dążeń ogółu, gorącym towarzyszem walk całej klasy, jej bólom, ideałom i nienawiściom z duszą i ciałem oddanym. Dziękujemy Wam Towarzysze za braterskie poparcie, pewni, że rok przyszły jeszcze bardziej powiększy wasze grono, nam zaś pozwoli na podstawie zdobytego doświadczenia z większym pożytkiem sprawy, a z temże co dotąd oddaniem, do wspólnej pracy się przykładać. Nie należy jednak ustawać. Solidarnie i wytrwale dążmy naprzód, ku powszechnemu dobru i sprawiedliwości. Potęga słusznej sprawy i miliony starszych naszych braci za granicą stoją z nami.

Od Wydawnictwa.

Upraszamy naszych prenumeratorów kwartalnych o wczesne odnowienie przedpłaty z początkiem zbliżającego się nowego kwartału.

Z Rady państwa.

Wiedeń, 12 grudnia. *(F.)* Wchodzimy z nastrojem poważnym **skonfiskowano!**

Ostatni numer pisma naszego na gwiazdkę i na zamknięcie rocznika zarazem zdobył sobie zawsze dla nas miłe i zaszczytne, chociaż z pewnemi kłopotami połączone uznanie władz, w formie konfiskaty. Tym razem, ze względu na jej doniosłość, odbyto ją w sposób niezwykle uroczysty i efektami, jakie nie były zastosowane od niepamiętnych czasów do nikogo. Cały układ zecerski ostatniego numeru „Naprzodu" omotany został urzędowemi sznurami i ubrany w urzędowe pieczęcie, które nie mogły być zdjęte aż do orzeczenia Sądu, aż do chwili, kiedy wszyscy czytelnicy dowiedzą się, co zaszło i, pozbawieni na dni ośm numeru, odczują należycie i należycie ocenią łaskawą opiekę i troskliwość, jaką władze nad nami roztaczać raczą. Dziękujemy w imieniu wszystkich naszych czytelników za tę konfiskatę, która była niezwykłą ozdobą pierwszego rocznika pisma, zaokrągla go i jest nam poważnem, urzędowem świadectwem, że sprawa nasza nie zbacza ani na chwilę z swej drogi. Przypominamy też przy okazyi Towarzyszom potrzeby funduszu agitacyjnego i prasowego, zwiększone koniecznością pokrycia kosztów innego konfliktu z władzami, o którym mowa poniżej.

Na 25 złr. kary lub 5 dni aresztu skazany został tow. J. Englisch redak. „Naprzodu" w rozprawie, odbytej przed zwykłym trybunałem sądu karnego w dniu 21 grudnia b. r. W oskarżeniu cytowano § 22 ustawy prasowej. Obwiniony zgłosił odwołanie.

Wiec katolicki jeszcze się nie ulągł a już w gronie wysiadujących go kokoszy, którym apartamenta „Zgody" stale użyczają gościnności — czysto kokosze wybuchają wojny. Ci, co byli w „Zgodzie" w zeszłą środę na jednem z przedwiecowych zebrań, paradny mieli spektakl — ci zaś co nie byli, jeżeli lubią serdecznie komiczne i wysoce pouczające farsy, niech żałują, że nie byli widzami jednej z najlepszych. Byłoż tam było co widzieć, co słyszeć — pióro Morgenbessera uprosić by warto, aby opisał tę scenę, której bohaterem, szczerego godnym poklasku, był fryzyer p. Machinko. Zdarł on z twarzy zebranych safandułów i świętoszków maskę kilku energicznemi cięciami języka i palnąwszy verba veritatis zebraniu, które pod sztandarem katolicyzmu ukrywa pospolitą blagę i najobrzydliwszy klerykalizm, w godzien uznania, pożyteczny, chwalebny sposób napiętnował jezuickie knowania jednej części wiecowników, kołtunerye drugich. Mydlicie oczy ludziom, wszystko co się tu mówi i robi między wami, jest blagą i niczem więcej — było treścią onegdajszej mowy niedawno jeszcze członka komitetu wiecu, dziś jego pogromcy. Kazaniami, których nie popiera przykład, chcecie wspierać przemysł — ujmujecie się niby to za przemysłowcami a w komitecie zasiadają sami hrabiowie, księża i ich wierne druhy, jezuici w świeckich szatach. Za to na czele programu wiecowego stawiacie: świecką władzę papieża — i szkoły wyznaniowe. Świeckiej władzy papieżowi! jakby mu było źle!!... jakby mu jeszcze i tego kafelka potrzeba było do szczęścia, które niby mało oplątany w sieci papizmu świat, płacący świętopietrze, kosztuje. Co do szkół wyznaniowych, cały świat cywilizowany je potępił i odrzucił, tylko my, Galicyanie, Polacy, mamy się ich domagać, składając świadectwo, żeśmy godni być nazwanymi Półazyą. — Naznaczywszy fałsz kierujących obradami, naznaczywszy niedołęstwo i głupotę uczestników biernych, p. Machinko opuścił zebranie w sposób, na który najzupełniej zasłużyło, poparty oklaskiem kilku z ciekawości przybyłych na obrady ludzi dobrze myślących. Po jego odejściu tłumek kołtunów słuchał dalej, co do nich mówiono — mówiono zaś: przew. adw. Markiewicz z płaczem, że im „popsuto tak piękne pogadanki", na które odtąd trzeba będzie zapraszać specyalnie do tego nadające się... owieczki — hr. L. Dębicki zaznaczał, że przybył na zebranie w skórce katolika nie stańczyka — a krawiec Marek, targając się za włosy, przysięgał wielkim głosem, klnąc się na wszystkie żywioły, że nie wyrażał się o wiecu w ujemny sposób, co w obliczu całego zebrania zarzucił mu przed chwilą p. Machinko. P. Marek jednakże składał swe przysięgi, kiedy jego oskarżyciel już był daleko. Stołek Machinki postanowiono wykadzić.

Cech rzeźników, którzy dostarczając pieczeni tym, co ich stać na nią, pamiętają o niepoślednim dla siebie kęsku i kiedy ich odbiorcom nierzadko się zdarza dławić ochłapem nabytym za drogie jak nigdzie pieniądze, dobrze się sami tymczasem karmią i poją — dają czasami znak życia po za kramem, jatką, talerzem i kuflem, urządzając uroczyste „wyzwoliny czeladź". Wyzwoliny te, na które przybywają skwapliwie wszyscy lubiący rzeźnickie jadło i napitek oraz rzeźnickie głosy wyborcze, odbywają się ściśle według starodawnego obrządku, z całowaniem łap majsterskich przez czeladzi i t. p. godnemi przechowania zabytkami, czem rzeźnicy składają dowód swej czci dla przeszłości a zarazem chlubny dowód poziomu, na jakim stoją ich umysłowe zasoby i ich obywatelskie pojęcia.

Czego im brak?

Szkic.

Ten czyrak, co się Turciowi usadowił w najdrażliwszej okolicy ciała i od dni kilku nie dawał mu chodzić, leżeć, siadać a nadewszystko siadać, podwójnie przykrą był w jego nieobfitem w troski życiu klęską, że wystrzelił mu z pod skóry w sam przeddzień świąt Bożego Narodzenia, tego wstępu karnawałowych zabaw, balów, maskarad, polowań, kuligów, w przeddzień wilii, na którą młody próżniak szlachetnego rodu tyle miał zaproszeń, w przeddzień tradycyonalnych wigilijnych łowów.

Otaczał go oto w mieszkaniu szereg świeżych przyborów toaletowych prosto z magazynu: ubrań, krawatów, rękawiczek, fularów, perfum i bižuteryj, któremi, wykradłszy sekreta nowości najświeższym dziennikom mód, miał odnosić tryumfy szyku na zebraniach, prześcigać współzawodników na polu salonowej elegancyi, ostatecznie zawracać głowy dam, do zawrotów pohopne i poświęcające tymże najpiękniejszą część swego życia — miał się jednem słowem zaznaczyć na cały zimowy sezon w salonach, po za których wonną, rozkoszną i próżniaczą atmosferą nie było dlań świata, życia, ludzi...

Wszystko to jednak na nic.

Patrzył na to wszystko, jak na daremnie poczynione przygotowania do zwycięzkiej kampanii, którą okrutny figiel losu uniemożliwia, wydzierając mu tyle upragnionych rozkoszy!... tyle należnych sukcesów!...

Na dobitek ten rwący ból w nodze, nieco poniżej biodra, wyżej zaś uda usadowiony, który żarem praży i szarpie kleszczami jego delikatne nerwy, od urodzenia osłaniane przez mamę, papę, bony, guwernerów i nadwornego lekarza od wszelkiej dolegliwości, jak osłaniane są z natury rzeczy ciała i osoby wybrańców.

Turcio uczuł się prawdziwie nieszczęśliwym. Złorzeczył po francusku swej doli, oburzony jej zrządzeniem, jej napaścią, której, niby świętokradztwa, padał ofiarą. Podobne rzeczy jak ten czyrak, niech sobie spotykają kogo chcą, tylko nie jego...

I oddał się czarnym i gorzkim myślom, doświadczając wrażenia, że w świecie zanosić się chyba musi na coś bardzo a bardzo złego, skoro na niego, Turcia, tego Benjaminka losu, zwalać się poczynają nieszczęścia.

Wydało mu się, że go wszystko opuszcza. Mieszkanie — bogato urządzony szereg pokoi, zdawało mu się zarazem więzieniem dokuczliwie ciasnem i straszną, nie do zniesienia, pustką. Czyliż był zdolny ją zapełnić, osamotniony?... Czem?... W tym stanie o przyjmowaniu gości nie mogło być mowy — bez pomocy drugich zaś, bez nowin ze świata, bez wesołych towarzyszów, bez towarzyszek z teatru, udających artystki, i innych, z po za niego, które mają szczerość nieukrywania tego, czem są w istocie, po za żaden fach pomocniczy, bez śniadań, kolacyi, koszów wina i butelek koniaku Turcio nie umiał się bawić, nie umiał zająć swych myśli, nie miał poczucia swej wyższości nad całym światem — znikał dla świata, znikał nawet dla samego siebie.

Gdyby chociaż Kicia dotrzymała danego słowa... Przyrzekła go odwiedzić.

Ale od rana daremnie czekał swywolnicy, imponującej mu tem, że go poniewierała jak lokaja. I zanosiło się na to, że cały dzisiejszy dzień, całą wilię przepędzi sam — po raz pierwszy w życiu!

Już był wieczór. Przedświąteczny ruch ulic wielkiego miasta zastępowała wigilijna cisza.

Kulejąc, chodził Turcio od okna do okna, wyglądał, czekał, obsypywał Kicię w duchu wyrzutami, to znowu posyłał ku niej westchnienia. Daremnie. Nie przychodziła niewdzięcznica, dla której para kolczyków z brylantami czekała tutaj, przygotowana na gwiazdkę.

Wśród tej posępnej i przykrej tułaczki po własnem mieszkaniu, znalazłszy się przypadkiem przed jednem ze swych okien, wychodzącem na podwórze, zabłąkał się Turcio oczyma w okienko niskiej oficynki, gdzie do światła niedużej lampki czytał stary, wyłysiały rzemieślnik gazetkę, w grubych pięściach ją dzierżąc.

To oni czytają? — ci prostacy?

Turcio założył szkła na oczy i z pewnem ożywieniem, w jakie nas wprawia rzecz nowa, zadziwiająca, wpatrzył się w owo okno, któremu nigdy dotąd uwagi swej nie udzielił.

Ten człowiek wąsaty, pomarszczony, na dole, czytał w istocie. Czytał on gazetkę, której tytuł, dużemi literami wypisany, brzmiał „Czego nam brak?"

Długonosy książę bułgarski radby się ożenić. Wie już nawet z kim, z pewną nadludzkiego... wdzięku?... nie majątku — księżniczką włoską. Jest jednak przeszkoda. Księżniczka jest katoliczką — książę prawosławnym. Księciu jego charakter panującego w prawosławnem państwie nie pozwala przedzierzgnąć się na prędce w katolika dla miłości bogatej księżniczki — jej zaś przeszkadza przyjąć prawosławie dla długonosego oblubieńca wola rzymskiego papy Leona XIII, który pragnie dzieci z tego stadła mieć katolikami. Papież jest grubszą rybą od bułgarskiego władcy — więc ten ostatni musi ustąpić. Trzeba jednak odmienić prawo państwowe bułgarskie — przy pomocy wszechwładnego ministra Stambułowa. Cierpiący na manię wielkości Stambułow, gotów do wszelkich usług dla księcia, wygotował projekt ustawy dotyczący wyznania książęcego potomstwa a za jednym zamachem ubija i drugi interes, ogranicza prawa wyborcze i prasę. Bułgarya będzie ślicznie obchodzić książęce gody, składając w podarunku wolność swoją, swe ludzkie i obywatelskie prawa. Zupełnie według przysłowia, które mówi: gdzie drzewa rąbią tam trzaski lecą — inaczej mówiąc: gdy książę się żeni, ty płać narodzie. „Tobie narodzie pozostawiam zawsze honor płacenia“ jak powiada Menelaj.

Karol Czecz, właściciel Bierzanowa, postępuje sobie z włościanami jak za dawnych, nieodżałowanych, szlacheckich, batogowych czasów, kiedy to wola „jasnego pana“ rozstrzygała wszystko. Uskarża się nam włościanin Jan Kłak, na krzywdę, jaka go ze strony Karola Czecza spotkała. Kłak wydzierżawił od Czecza morg gruntu, będącego w procesie z poprzednim dzierżawcą — zanim go objął w posiadanie, otrzymał tymczasem inny mórg gruntu, który znawoził, ponosząc przytem znaczne koszta. Wtedy Czecz odbiera mu ten grunt, narażając go oczywiście na znaczną stratę, a daje inny, skoro zaś Kłak ten nowy grunt znawoził, uprawił i obsadził i ten mu odbiera przed terminem, ponieważ go obiecał komu innemu. Na napiętnowanie postępowania tak niegodziwego z biednym i ciężko pracującym rolnikiem nie mamy dość słów oburzenia.

Rosyjską armię wskazuje wielu jako wzorową — oczywiście tę armię, która jest na papierze a nie rzeczywistą. Jaką jest istotna, ile w niej dziur i braków, okazałaby dopiero mobilizacya. Ale i tak wewnętrzne stosunki armii są w wysokim stopniu opłakane, jeśli się w niej zdarzać mogą wypadki jak poniższy. W tych dniach opuściła Petersburg w regularnym marszu, pod dowództwem feldwebla cała kompania, wprost z placu musztry udając się do pobliskiego lasu, zkąd ją, rzecz prosta, niebawem napowrót sprowadzono. Postępek ten gromadny był aktem zemsty, wymierzonym przeciwko znienawidzonemu dowódcy kompanii, który nietylko traktował żołnierzy jak najgorzej, ale i strawę im dawał nie do jedzenia. Dla złagodzenia skandalu usiłują tu głosić ze strony urzędowej, że wszystkiemu winien feldwebel — jakoby umysłowo chory.

---

skonfiskowano! postępowanie władz krakowskich:

„W Krakowie zdarzył się straszny wypadek, którego poruszenie w tej Izbie zawdzięczyć możemy Panowie jednemu z robotników. Zaaresztowano tamże z powodu drobnego przekroczenia niejakiego Fryderyka Rottera. Na drugi dzień znaleziono tegoż człowieka, broczącego we krwi na pryczy w areszcie ze zranioną głową. Po długiem ociąganiu na prośby matki zawezwano pogotowie stacyi ratunkowej. Rottera odwieziono do szpitala, gdzie tenże zmarł. Obdukcya sądowa zwłok wykazała, że nastąpiło morderstwo. Ani kopii, ani oryginału orzeczenia lekarskiego nie chciały władze wydać familii. Śledztwo sądowe zostało bez podania bliższych przyczyn zaniechanem. Sędzia śledczy wzdragał się przesłuchać służby policyjnej, która aresztowała zamordowanego. Nie wiadomo właściwie, co zaszło. (Pos. Kronawetter: I nigdy się nie dowiemy!...) Człowiek został zamordowany i nikt nie wie **przez kogo i gdzie.**“

Administracya i wykonywanie ustaw, — — — — — — — — **skonfiskowano!**

Liczbę pozbawionych pracy w Anglii ocenia Keir Hardie na 1¼ miliona głów. W samym Londynie jest 100000 ludzi bez pracy. John Burns domaga się od władz miejscowych chleba i pracy dla potrzebujących.

---

skonfiskowano! (Czyny za siebie mówią).

J. H. Mackay

W odpowiedzi.

Możecie gnębić słowo —
Lecz ducha nie zgnębicie,
Bo ten nad kłamstwem waszem
Jak orzeł mknie w błękicie!

Możecie gnębić słowo,
Lecz jego siła grzmiąca
Nad waszą spływa głową
I w sto się ech roztrąca!

Dopóty będzie ono
Na czyn zwoływać wielki,
Jak dziecko żąda z krzykiem
Swej matki rodzicielki,

Aż z wyżyn w niebo wspiętych
Po ciemne ziem otchłanie
Porwie się lud ocknięty,
Na bój ostatni wstanie.

Ha! już ze zamków waszych
Opada gruz zwaliska,
I przez szczeliny murów
Już nowa wiosna błyska.

A choć w tej z kłamstwem walce
Niejeden życie straci,
Na miejsce opróżnione
Dziesięciu staje braci.

Możecie zgnębić słowo,
Duch jego niezależny
Na waszą hańbę nową
Jak orzeł mknie drapieżny!

A wtedy nowa era
Na stare wejdzie zgliszcze,
I każdy posłuch szczery
Dla swoich słów uzyszcze,

I dnie nadejdą nowe
Gdzie słowo w tęsknej skardze
Nie będzie nigdy więcej
Zmuszone mrzeć na wardze.

Gdzie nikt się prawdy śmiałej
Występkiem zwać nie waży,
Gdy kłamstwu i obłudzie
Zasłonę zerwie z twarzy!

Zwycięztwo wtedy nasze!
A wieczna wam sromota,
Co na wolności drogę
Posępny cień dziś miota.

JCom. A Górski

Dziś wy przemożni mocą
Skradzioną, z czci wyzutą,
Co każde wolne słowo
Z bezczelną wydrwi butą!

Więc duście, gnębcie słowo,
Lecz ducha nie zgnębicie!
Bo ten nad kłamstwem waszem,
Jak orzeł mknie w błękicie!

PRZEGLĄD.

Ważnym błędem projektu do ustawy prasowej dr. Jaquesa jest, że pozostał w nim nienaruszonym §. 17 dzisiejszej ustawy prasowej, według którego egzemplarz obowiązkowy wydawnictw peryodycznych musi być doręczanym władzy równocześnie z puszczeniem druku w obieg — wydawnictwa zaś nieperyodyczne, a więc broszury, pisma ulotne etc., których objętość nie przekracza pięciu arkuszy druku, należy doręczać władzom najpóźniej w 24 godzin po puszczeniu ich w obieg. Otóż zachowanie tego postanowienia w projekcie nowej ustawy utrwala dzisiejszy system cenzury prewentywnej. Projekt Jaquesa ogranicza wprawdzie konfiskaty w postępowaniu przedmiotowem na takie wypadki, że gdyby można być pewnym rozsądnej interpretacyi ustawy, przychodziłoby do konfiskaty tylko bardzo rzadko. W Austryi jednak, niestety, niczego mniej pewnym być niepodobna, niżeli rozsądnego wymiaru praw. Po za tem, jeżeli postępowanie objektywne w istocie ma być usuniętem, niepodobna pojąć, w jakim celu zatrzymuje się obowiązek doręczania egzemplarzy obowiązkowych. Dwudziestoczterogodzinna zwłoka zaś, pozostawiona broszurom etc., z której nie korzystają pisma peryodyczne, wymownie świadczy, że ma się tu do czynienia z prostą szykaną. Zdaje się, że samo wskazanie na ten szczegół powinno by wpłynąć na skreślenie §. 17 ustawy prasowej.

Ks. Chotkowski, ten tak dobrze nam znany i z Krakowa i z Wiednia i z „Kuryera polskiego“ i z „Zgody“ ks. Chotkowski, jak na prawdziwego światłodawcę, bo profesora, kapłana, posła i publicystę w jednej osobie przystało, wygłosił na ostatniem posiedzeniu naszej Rady m. mowę, której wątkiem było: dobre prowadzenie kuchni, jako jedyne i wyłączne posłannictwo i pole działalności dla kobiet — oraz bezużyteczność a nawet szkodliwość (wedle ks. Chotkowskiego) kursów Baranieckiego przy muzeum przemysłowem w Krakowie, kursów, będących jedynym w całej Polsce przybytkiem wyższej, szeroko, w zakroju uniwersyteckim ujętej nauki dla kobiet. Nie żałując kwiecistej wymowy, wielebny ksiądz-profesor - redaktor - poseł nagadał kolegom-rajcom tak smacznych rzeczy o obiadach, o Hawełce, o jedzeniu w ogóle a kuchni litewskiej w szczególności, o tem, że wszyscy jeść lubimy i że ks. Chotkowski lubi także (poznać to po figurze) — że po oddaniu tak wielkiej czci brzuchowi, naturalnie dla głowy jej już nie znalazł. Brzuch z głową zawsze bywał w kolizyi. Dalejże tedy: gasić, gasić!... według starego programu stańczyków, dziwnie

---

„Nam?“ — to zapewne: im — pomyślał Turcio.

Czego im brak?... Phi!... Czegóż im może braknąć, temu robactwu... Powinno być chyba może: „czego nam się zachciewa“. Bo ten motłoch podobno zaczyna ostatniemi czasy objawiać różne zachcianki.

Ale to mu przypomniało, że jeden z pakietów, zdaje się nowe kalosze, przysłane z magazynu, owinięte były bodaj czy nie w tę właśnie gazetkę. Warto rzucić na nią okiem, dla samej osobliwości — tak jak się czasem zaszczyca rzutem oczu lub pytaniem człowieka albo rzecz, najmniej tego godną, ot, przez kaprys humoru lub dla zabicia czasu.

Wziął się do czytania.

Ba, ba, ba.... więc to prawda! więc oni się mają za ludzi! oni przypisują sobie jakieś prawa! oni się o nie upominają! chcą o nie walczyć! obiecują je wywalczyć nawet!...

A to zuchwała zgraja!...

W Turciu zagrała krew karmazyna, ostatnia jakaś kropelka, ocalała w spadku po przodkach kropla sierotka tej krwi tak szlachetnej! wobec której w prochu niegdyś kałało się wszystko, która budowała kościoły, katowała chłopa, nieciła wojny domowe, rozrzucała złoto za granicą i sprzedawała ojczyznę — która w rozjuszonego buhaja zamieniała butnego magnata, jeśli cokolwiek stanęło jego samolubstwu i pysze oporem.

Oburzył się, wykonując ciałem ruch nieopatrzny, od którego czyrak na nodze przypomniał mu dokuczliwie swą obecność, ale go tylko do tem większego gniewu pobudził.

Z nienawiścią i wzgardą spojrzał w okienko rzemieślnika, przedstawiciela tej warstwy, która podobno czoła śmie podnosić, jak to pomiędzy przetasowaniem kart a rozdaniem, doleciało jego ucha w klubie z rozmowy dwóch jakichś starszych, chorujących na politykę hrabiów.

Było tam już, w tej oficynce, po wilii. Stara kobieta zebrała ze stołu podrutowane talerze i widelce z zębami powykręcanemi jak palce ludzkiej dłoni w kurczach. Dokoła stołu siedzi kilkoro ludzi: stary, syn, dziewczyna i malec. Gęby czerwone, świecące, wesołe zwierzęcym wyrazem zadowolenia z sytości.

Zaczynają śpiewać kolendę.

Chłopiec drze się w niebogłosy, brat starszy wtóruje mu niedojrzałym głosem wyrostka, czasem zaś siostra zapiszczy cienko lub ojciec, upatrzywszy sobie ładniejszy ustęp słów czy melodyi, zahuczy basem... Ale skoro nabrali rozmachu, niebawem wszyscy poczęli wyć z zadartemi w górę głowami, aż uszy puchną...

Zwierzęta!...

Czegóż im brak! I czego im braknąć może! tym ludziom, co tak hałaśliwie objawiają swą radość, którym chce się i którzy potrafią śpiewać tak ochoczo...

Turcio splunął ze wstrętem i odszedł od okna, uciekł, aby ukryć w głębi mieszkania swoją nudę, swoje delikatne nerwy i swoją wyższość... Poszedł wzdychać za Kicią i płakać nad czyrakiem.

A oni śpiewali dalej.

Spiewali bez przerwy, z zapoconemi nosami i oczyma błyszczącemi zadowoleniem, pieśń radości, pieśń szczęścia, nastającego na ziemi, niespełniony od dwóch tysięcy lat hymn tryumfu i wesela, w staroświeckich czasach ciemnoty i wiary stworzony dla maluczkich, który i ich prostocie i nieświadomości jedyną był dzisiaj pociechą.

Jakiemże szyderstwem jaskrawem wydawały się te pieśni, rozbrzmiewające silnie i wesoło w izdebce nędzarzy, gdzie jedna ściana od pieca, pali — druga, od drzwi, wieje — trzecia, od okna, wilgocią płynie; gdzie niski pułap zasypuje oczy opadającemi łuskami wapna, a podpierające go belki znaczą czoło guzami; gdzie nocą rozłazi się z szpar robactwo, z za pieca myszy, szczury z za progu; gdzie truć się trzeba zaduchem, aby nie wypuszczać z izby drogiego ciepła: gdzie kopciem oszczędnie wykręcanego knota lampy psują sobie oczy i płuca, aby się mniej nafty wypalało; gdzie ochłap lichego mięsa jest przysmakiem a czasem soli nawet nie ma do ziemniaków dosyć; gdzie się z soboty na niedzielę na prędce przepiera jedyną z grzbietu zrzuconą koszulę, kiwając głową nad jej dziurami, a susząc ją w izbie, wchłania się przez noc całą parujące z niej wyziewy i wilgoć; gdzie nosi się kilka i kilkanaście lat tęż samą odzież, na dawnych łatach, kładzie nowe warstwami; gdzie jedno drugiemu pożycza wyszczerbionej łyżki, noża jak kij tępego; gdzie nawet w lecie, kiedy ojciec, cieśla lub murarz, ma robotę, rzadko bywa wszystkiego tyle, ile trzeba, zimą zaś nigdy; gdzie sen

wielu liczącego zwolenników i propagatorów właśnie między tymi, co „oświaty najwyżej nieść winni kaganiec“. Ks. Chotkowski dla kobiet nie życzy sobie tego kaganka wcale. Woli on kobiety mieć... w mroku. Każda kobieta, chcąca być mądrą, musi się stać — według niego — przemądrą, a więc nieznośną, a co do mężów, ks. Chotkowski zapewnia, że każdemu z nich najmilsza żona głupia, byle umiała gotować dobre obiady. Na kursach Baranieckiego wszystko mu się nie podoba — zakład, w którym panny czytają socyologa Spencera i którego uczennica występuje nad grobem kierownika instytucyi z przemową, jest szkodliwym — skasować go należy. — Drowi Jordanowi, tak zasłużonemu około zdrowia młodzieży naszej, powinszować tylko, że z całej Rady najbliższym był ks. Chotkowskiego i najenergiczniejszym rzecznikiem złej sprawy w całej Radzie, która widać „jeszcze do reszty nie znikczemniała“, skoro postanowiła kursa Baranieckiego zachować i nadal.

Daleko ustawie przemysłowej do należytego uwzględniania interesów przemysłu — ale dalej jeszcze sposobom, w jakie u nas wykonuje się ta ustawa, do niej samej. W myśl tej ustawy chcieli robotnicy stolarscy i bednarscy w Krakowie zawiązać stowarzyszenie zawodowe. Ułożyli statut, przedłożyli go władzy, odbyli cały szereg zgromadzeń, wybrali wydział i przewodniczącego, jednem słowem, zrobili to wszystko, co dojrzali obywatele państwa i sumienni towarzysze fachu zrobić mogą i powinni w interesie swoim i swego zawodu, a dalej całej tak licznej dziś i tak biednej i uciemiężonej warstwy pracującej. Uczynili także to, czego od nich wymagają ustawy, to jest zawiadomili władze o przygotowawczych do założenia stowarzyszenia krokach oraz o mającem się odbyć zgromadzeniu robotników obu fachów. — Wszystko porządnie, godziwie i jak należy. Ale, jak zwykle, od chwili zetknięcia się z władzami, poczynają się chwalebne i pożyteczne zabiegi robotników psuć. Przytaczamy dokument, który najlepiej to udowodni i objaśni:

L. 40396. Do Pana Stanisława Piotrusiewicza, czeladnika stolarskiego, w Krakowie ul. Rakowiecka l. 19. Magistrat oznajmia Panu, że równocześnie zażądał ponownie od Starszego Stowarzyszenia stolarzy i bednarzy p. R. Chmurskiego, przedłożenia opinii co do projektu przedłożonego statutu zgromadzenia czeladników stolarskich i bednarskich w terminie dni 14. — o tej opinii, względnie o załatwieniu przedłożonego projektu zostanie Zgromadzenie czeladników stolarskich i bednarskich zawiadomione. Równocześnie oznajmia Panu Magistrat, że nie może zatwierdzić wyboru Pana na Przewodniczącego Zgromadzenia czeladników stolarskich i bednarskich, a to z tej przyczyny, że wedle oznajmienia c. k. Dyrekcyi Policyi, nie zasługujesz Pan na zaufanie; propagując zasady socyalistyczne (!). Również odmawia Magistrat zatwierdzenia wyboru innych członków wydziału Zgromadzenia pomocników stolarskich i bednarskich jako to: Jana Białostockiego, Jędrzeja Jamki, Pawła Szotta i Stanisława Ziętkiewicza, albowiem wedle opinii c. k. Dyrekcyi Policyi wywierają oni niekorzystny wpływ na czeladników, rozluźniając ich stosunki względem majstrów. Wobec tego nie przyjmuje też Magistrat do wiadomości zawiadomienia Pana o zwołaniu na dzień 18 grudnia b. r. walnego Zgromadzenia czeladników stolarskich i bednarskich. O czem się równocześnie Stowarzyszenie przemysłowe stolarzy i bednarzy do rąk Starszego p. Romana Chmurskiego zawiadamia z wezwaniem, by zwołał Zgromadzenie czeladników i na temże przeprowadził ponownie wybór przewodniczącego i wydziału, tudzież członków sądu polubownego. Przeciw temu orzeczeniu wolno wnieść rekurs do. Wys. c. k. Namiestnictwa w dniach 14 za pośrednictwem Magistratu. Kraków dnia 27 listopada 1892.

Szlachtowski.

Nieprawdaż, że przytoczone pismo magistratu rzuca jaskrawe i zupełnie to samo światło, w jakiem stoją wszystkie sprawy ludu roboczego u nas. Na nic ustawa, na nic ścisłe jej przestrzeganie — gdy się coś nie spodoba: policyi. Kilkuset towarzyszy wybiera z pomiędzy siebie wydział i przewodniczącego, bo ich znają i mają do nich zaufanie. — „Nie będziesz mój panie przewodniczącym ani wy moi panowie wydziałowymi“ powiada na to policya „bo nie zasługujecie na moje zaufanie“. Dlaczego?... Z powodu szerzenia zasad socyalistycznych i obronnej postawy wobec nadużyć majstrów — oto zarzuty policyi przeciwko wydziałowi i przewodniczącemu towarzystwa, założonego właśnie w myśl jedynych idei, jakie dziś wyznawać i krzewić, świętym jest dla nas obowiązkiem i jedyną rękojmią lepszej, należnej nam przyszłości — t. j. w myśl idei socyalistycznych. I oni sądzą, że te idee w nas stłumią, że zmuszą nas, abyśmy sobie wybierali prezesów i wydziały, dla nich, nie dla nas sympatyczne. O, za pozwoleniem. Z ustawą w ręku i po szczeblach chociażby nie wiedzieć wielu rekursów dojdą stolarze i bednarze do jednego z resztą towarzyszy celu: do zjednoczonej pracy nad wspólnem dobrem. Mówimy to pod adresem wszystkich, rzucających ludowi roboczemu kamienie pod nogi, wszystkich starających się zdławić rozbudzone w nas życie samowiedzy i samopomocy — nie wyłączając nawet takich małych, choć wielce szkodliwych (znanych zresztą dobrze w całem mieście) ptaszków, jak r. przem. Szymkiewicz, który kiedy mu stolarze wspomnieli ustawę przemysłową, parsknął śmiechem obytego z biegiem dróg urzędowych praktyka i zawołał szyderczo: „Co mi tam mówicie o ustawie przemysłowej — ta ustawa za sto lat chyba może tak będzie dla was wykonywaną jak brzmi, ale nie dziś“... Ach radco łaskawy, zbyteczne wyznanie. Wiemy, że wy: pan i panu podobni, radzibyście odwlec wykonywanie niemiłych pewnym sferom ustaw aż do 100-letniej rocznicy ich wydania — ale zapomnieliście, co my też o tem sądzić i jak się wobec tego zachowywać będziemy. Ustawa — zapewne, jest to do pewnego stopnia tylko papier, martwa litera — w ręku grabarzy ustaw, praw ludzkości i życia społecznego. Ale my tym literom nie damy skostnieć. Nie na tośmy je wywalczyli.

„Nowy kurs“ w Niemczech zaznacza się w dalszym ciągu tak, jak to obiecywał. W samym miesiącu październiku towarzyszom niemieckim wymierzono następujące kary: 7 lat, 1 miesiąc domu poprawy, 4 lata, 8 miesięcy, 8 dni więzienia, 3 miesiące fortecy, 3784 marek grzywny i 26 lat utraty czci. Oczywiście, że utrata czci rozumie się tu tylko w znaczeniu sądowo-prawniczem — nie spada zaś ona wcale na zasądzonych w obliczu ich biednych, krzywdzonych braci, za których cierpią. Owszem kary te, jak się tam one wszystkie nazywają, cześć tylko i chwałę towarzyszom naszym w Niemczech przynoszą. Okrywają one ich tym blaskiem, jakiego żołnierzowi, wracającemu z wyprawy, udzielają blizny, któremi jest okryty.

Skandal panamski. Jeszcze nigdy takich rozmiarów brudy nie zdemaskowały zgniłego ustroju dzisiejszego kapitalistyczno-burżuazyjnego społeczeństwa, jak sprawa przekopu cieśniny panamskiej. Przedsięwzięcie to olbrzymich rozmiarów pochłonęło ni mniej ni więcej tylko $1^1/_2$ miliarda czyli 1500 milionów franków, zebranych z kieszeni drobnych akcyonaryuszy całej Francyi. I cała ta olbrzymia suma przepadła, nikt z akcyonaryuszy nie odbierze ani grosza z swych pieniędzy, które w części tylko użyte zostały na właściwe roboty około przekopu — reszta zaś poszła na milionowe i krociowe łapówki w celu przekupienia prasy, aby zachwalała przedsiębiorstwo, zagrożone pewną ruiną w takich warunkach, oraz deputowanych i ministrów, aby patrzyli przez palce na jawnie spełniane olbrzymich rozmiarów oszustwo, na kradzież miliardów, w której dano im udział. Cała Francya została niebywałem łotrostwem poszkodowaną — tysiące drobnych kapitalistów, krocie ludzi ograbionych z małych, z trudem zebranych oszczędności. A zarazem taż Francya sama siebie naznaczyła piętnem do głębi sięgającego zepsucia, o które zresztą ani narodu ani republiki winić nie można — cała bowiem wina ciąży na kapitaliźmie. Kapitalizm to okazał się otchłanią występków i najohydniejszej zgnilizny moralnej — a obok niego zdemaskowały się poważne stronnictwa i poważnych imion bezkarnie dotąd używający oszuści, od dziennikarstwa, tego odmętu blagi, sprzedajności i łajdactw wszelkiego rodzaju począwszy, aż do „reprezentantów ludu“ deputowanych i ministrów. Świetne imiona Lessepsa, genialnego inżyniera, twórcy projektu panamskiego, jego syna, oraz słynnego od czasu wystawy paryskiej w 1890 Eifla — również stanęły pod najcięższemi zarzutami. Jednem słowem przed oburzonym wzrokiem ludzkości otwarła się istna przepaść brudów, potwierdzając słuszność oskarżeń i klątw, jakie dzisiejszy porządek społeczny na siebie ściąga, oraz umacniając pewność, że ostatnia jego godzina nie jest już daleką. Cała prasa europejska, ta mianowicie, co nie dostała kęska z pieczeni panamskiej, nie posiada się z oburzenia, a dzienniki monarchiczne z radością wykrzykują: „patrzcie! oto co się dzieje w republice!“ Jakby to republika miała monopol na łajdaków, a system monarchiczny uwalniał od nich radykalnie. Przeciwnie, są dowody, że garną się oni doń daleko chętniej i że im pod nim lepiej. We Francyi przynajmniej nie zatarto sprawy a chociaż winni nie wiele na dochodzeniu ucierpią, bo przecież „kruk krukowi oka nie wykole“, ale zawsze coś się przynajmniej robi dla zadosyćuczynienia wymogom sprawiedliwości. Inaczej u nas w Austryi, gdzie — przypominamy — niedawno popełnione zostało grube oszustwo giełdowe, w którem „N. Wiener Tagblatt“ wcale nie dwuznaczną, zaś kilku naszych poślików z „Koła polskiego“ bardzo dwuznaczną odegrało rolę. Ale sprawa utonęła. — Co w sprawie panamskiej najdonioślejszą jest rzeczą, to pogorszenie ogólnej biedy, spotęgowanie niezadowolenia ogółu, otwarcie ludziom oczu. Łajdak oczywiście pozostaje łajdakiem, ale cięgi, jakie zadał swym ofiarom, pożyteczne są częstokroć o tyle, że je: uczą rozumu.

W nowym parlamencie włoskim partya socyalistyczna posiada trzech reprezentantów: Trampoliniego (wybranego w Guastelli 1506 głosami) Aquiniego (z Carpi 1635) i Masseiego (Montecchio 1623). Przy dwóch wyborach uzupełniających towarzysze nasi ulegli wobec zjednoczenia wszystkich partyj przeciwnych. Zwycięstwa naszych włoskich braci tem są donioślejsze, że po raz pierwszy to oni obecnie z pełnym programem socyalno-demokratycznym wystąpili w arenę walki wyborczej.

KORESPONDENCYE.

Lwów. Ruch robotniczy u nas nie przestaje się zaznaczać w sposób dobrze o przyszłości rokujący. W „Sile“ życie aż kipi — a nieustanne wśród burżuazyi, klerykałów i kołtunów ujadania na socyalną demokracyę najlepiej świadczą, że ona nie zasypia sprawy. Takie rzeczy najszybciej oceniają wrogowie. Tych mamy dosyć. Oprócz „Przeglądu“ obitego w swoim czasie Masłowskiego i „Kuryera polskiego“, w którym księżykowie wypuszczają na socyalizm nie raniące i nie bolesne pociski — słudzy kościoła z ambony i z konfesyonału starają się zwalczyć nowe moce, łudząc się, że zwalczyć je zdołają. Szczególniej po każdym wybitniejszym objawie życia w łonie naszej socyalnej demokracyi wszystkie spowiadające się żony robotników, zamiast umocnienia w cnotach chrześcijańskich, spotykają się z ust spowiednika z piorunami klątw na socyalizm, z groźbami kar doczesnych i wiecznych i z uroczystemi poleceniami odwodzenia mężów od ruchu, do czego ojcowie duchowni podają od razu wskazówki i sposoby. Z ambon toż samo, na wszystkie strony kropi się święconemi słowami dyabła socyalizmu — a dyabeł się śmieje i zdrowie mu służy, jak służyło. Ks. Paudysz u Jezuitów, dwujęzycznie, po polsku i po niemiecku, stara się nas słowem bożem zabić — i ani rusz. Widocznie, że słowo z ust Paudyszowych płynące nie jest bożem, albo też, że nas zabić nie tak łatwo, prawdopodobnie zaś jedno i drugie. Politechnika lwowska, — **skonfiskowano!**

Postanowienia, dotyczące kolportazy pism napotykają w komisyi prasowej na różne, łatwe do pojęcia skrupuły i przeszkody. Znaczącem jest, że na usunięcie zakazu kolportowania zgodziły się wszystkie partye z wyjątkiem klerykałów i konserwatywnych. Klerykali udają, że boją się kolportowania pism nieobyczajnych — ale oczywiście idzie im o zachowanie monopolu, albowiem ich wydawnictwa, jak wiadomo, cieszą się zupełną swobodą kolportowania, chociaż są między niemi takie, co wprawdzie nie na moralność, ale za to na zdrowy rozsądek ciężkim są zamachem. Przykładem: bilety do raju, w różnych językach po kościołach w Austryi sprzedawane. Czy te bilety nabywcom drogę do niebios

---

wieczorem wytrąca łyżkę ze znużonej ręki pomimo głodu a rano wstawać trzeba, nie wyspawszy się do syta; gdzie wywczas, sytość, wygoda, są wyobrażeniem bajecznem, gdzie nie ma się pojęcia o żadnym z wyników kilkudziesięciowiekowej cywilizacyi, tej przyjaciółki wybranych, która uszlachetnia, uprzyjemnia, ułatwia życie — lecz wiedzie się byt w warunkach i z poglądami z przed lat tysięcy, byt prawie zwierzęcia w norze.

I wszystko to pod bokiem pałaców, świątyń sztuki, przybytków wiedzy, pod bokiem dostatków a nawet nadmiaru, którego jawnie, w imię odwiecznego porządku, przed obliczem milionów nędzarzy, i ich kosztem, używa do przesytu, do rozpasania, tylu uczestników i sprawców dziejących się bezprawi. Sumienie ich, spętane u jednych zbrodniczem samolubstwem, u innych głupotą, śpi lub umarło. Nie traci ono błogiego spokoju, jak gdyby to wszystko zupełnie godziwem było i przykładnem — jak gdyby tego nie można było, nie trzeba i nie warto zmienić!

Czyliż nie dosyć jest, jeśli rzeczami temi zajmie się niekiedy czułe serce poety, innego w życiu aniżeli w rymach — giętki język kaznodziei, dbałego o kościelną skarbonę — program kandydata na posła w przeddzień głosowania — lub wysiłki dziennikarskiej blagi, obliczonej na połów abonentów?

(Przedruk wzbroniony).

ułatwiają, niewiadomo, ale że są z jednej strony wybrykiem nonsensu zbyt daleko posuniętym — z drugiej zaś ironią iście szatańską, dowodem ich tekst, który, z poręczeniem autentyczności, dosłownie podajemy: „**Bilet podróży do raju:** Odjazd: O każdej godzinie. Przyjazd: Kiedy Bóg chce. *Ceny miejsc*: I. klasa (pociąg posp.) Niewinność, umartwienia, posłuszeństwo radom ewangielicznym (ubóstwo, czystość, uległość). II. klasa (pociąg bezpośredni): pokuta, ufność w Bogu i wierne spełnianie dobrych uczynków (modlitwa, post, jałmużna). III. klasa (pociąg zwykły): Zachowanie przykazań boskich i wypełnianie powinności swego stanu. IV. klasa (nadzwyczaj rzadko): Nawrócenie na łożu śmierci. **Uwagi**: 1) biletów powrotnych nie wydaje się. 2) pociągi spacerowe nie kursują. 3) małe dzieci, które nie posiadają jeszcze rozumu, nie płacą nic, jeżeli się znajdują na łonie matki kościoła katolickiego. 4) Uprasza się pasażerów, aby nie zabierali z sobą żadnych innych pakunków, prócz dobrych uczynków, jeżeli nie chcą narazić pociągu na spóźnienie, siebie zaś na niemiły pobyt na przedostatniej stacyi: „Czyściec“ (gdzie wszelkie inne bagaże pozostawić trzeba). 5) Na całej linii i na wszystkich stacyach przyjmuje się podróżnych. 6) Każdy bilet musi nosić stempel łaski boskiej poświęcającej. 7) Każdy podróżny może w czasie jazdy przesiąść się z klasy niższej do wyższej, natomiast przenoszenie się z wyższych klas do niższych, jako zagrażające życiu, bezwarunkowo jest zakazanem.

skonfiskowano! — — — — — — — uległ konfiskacie. Dnia 6 grudnia odbyło się w ratuszowej sali zgromadzenie ludowe w duchu socyalno-demokratycznym. Obrady toczyły się nad panującą drożyzną artykułów spożywczych i reakcyjnemi uchwałami III galicyjskiego zjazdu przemysłowego.

Z warsztatów i fabryk.

Zagórz. Fabryka Lipińskiego nie przestaje być widownią ciągłych a niewyczerpanych w pomysłowości krzywd robotników. Jako narzędzie tych krzywd, godne brudnej ręki, co je wymierza, odznacza się werkfirer M. Tomżyński. Robotnik ten, niegodzien zasługiwać na swe stanowisko ani znajomością fachu, w którym jest bardzo lichy, ani sumiennością wobec towarzyszy, dla których jest istnym zbirem — depcząc wszelkie względy ludzkości, koleżeństwa, uczciwości, jedynie o zaskarbieniu sobie łask zarządu myśli. Że czyni to krwawym kosztem swoich towarzyszy, to mu jest obojętne. Idzie mu tylko o względy inż. Sulimierskiego, a wie, jak je zdobywać. W tym celu kasuje nam śniadanie — manipuluje z zegarem tak, aby z rana jak najwięcej kar zapisać za spóźnienia, a wieczór jak najdłużej nas zatrzymywać przy pracy, wskutek czego siedzimy w warsztatach po 11½ godz. dziennie, nakoniec — godne werkfirera zajęcie — zasługuje się dyrekcyi wyzbierywaniem starego żelaziwa do szmelcu. Tymczasem warsztaty, zaniedbane i pozbawione odpowiedniej wentylacyi, nad czem werkfirer czuwać powinien — zabijają nas, przeciążonych pracą w atmosferze dusznej i dymnej. Zanotujcie nazwisko tego Tomżyńskiego w nieskończonej litanii naszych krzywdzicieli, niezmordowanie on na ten honor pracuje.

Ze stowarzyszeń i zgromadzeń.

Kraków. (Konferencya krajowa). W dniu 4 grudnia zebrała się w Krakowie po raz pierwszy konferencya krajowa zachodniej Galicyi celem porozumienia się w kwestyach zasadniczych, odnoszących się głównie do stosunku centralnego zarządu do komitetów prowincyonalnych i odwrotnie.

Zebranie odbyło się w sali redakcyi „Naprzodu“ na podstawie §. 2 ustawy o zgromadzeniach, a uczestniczyli w niem delegaci z Krakowa, Podgórza, Nowego Sącza, Zagórza i Biały.

Tow. Borowiecki zagaił zgromadzenie przemową, w której zaznaczył przedewszystkiem program pracy, zakreślony dla dzisiejszej konferencyi. Przemowę swoją zakończył słowy: „Towarzysze! walczymy pod hasłem: wolność, równość i braterstwo, wielkiem hasłem partyi socyalno-demokratycznej, którego spełnienia może nie wszyscy doczekamy. Lecz to nie powinno nas wcale zrażać i tembardziej obowiązkiem naszym powinno być posunąć kulę globu przynajmniej o tyle naprzód, o ile nasze siły na to pozwalają, by przyszłym chociaż pokoleniom ułatwić to nędzne życie. Podajmy więc sobie bratnie dłonie, porzućmy wszelkie cele samolubne, wszelkie zawiści i niezgody, a dążmy tam śmiało, bez obawy, gdzie nas nowa era, nowy świat woła: do wolności, równości i braterstwa“.

Po tem przemówieniu odczytał tow. Borowiecki następujący: Porządek dzienny: 1) Wybór przewodniczącego; 2) a) oznaczenie sobie granic kompetencyi i działalności; b) Ustanowienie poszczególnych okręgów i wybór reprezentantów okręgowych; c) oznaczenie, w jakim kierunku kto udział swój w ruchu zaznaczy oraz innych ewentualnych obowiązków poszczególnych okręgów; 3) Wybór pięciu członków do stałego komitetu agitacyjnego; 4) Wybór centralnego skarbnika; 7) Prasa; 8) Wybór komitetu redakcyjnego; 9) Wnioski członków. Poczem wezwał obecnych do wybrania przewodniczącego.

Tow. Kurowski ze względu na nawał pracy proponuje wybór dwóch przewodniczących i przedstawia tow. Englischa z Krakowa i Zbigniewicza z Sącza, których zgromadzeni jednomyślnie wybierają.

Tow. Englisch obejmując przewodnictwo, wezwał na sekretarza tow. Scholza, poczem udzielił głosu tow. Kurowskiemu, jako referentowi pierwszego punktu porządku dziennego.

Tow. Kurowski składa przedewszystkiem sprawozdanie z dotychczasowych czynności partyi krakowskiej, zaznaczając, iż robiła ona wszystko, co mogła i na co ją stać było. Ze sprawozdania tego wyjmujemy następujące ważniejsze daty:

Dnia 10 stycznia 1892 r. założono „Siłę“ w Podgórzu; 21 lutego w Nowym Sączu; 13 marca w Biały; 27 marca w Tarnowie; 16 października w Zagórzu. Oprócz tego odbyliśmy tak w miejscu, jak i na prowincyi kilkanaście zebrań, na których utworzone zostały partye robotnicze i wybrani zostali mężowie zaufania. Nowy plan organizacyjny naszego stronnictwa został wszędzie bez zmiany przyjęty. W kongresach lwowskim i wiedeńskim braliśmy liczny udział. Oprócz tego pobudziliśmy do życia ruch zawodowy, w którym to celu odbywaliśmy liczne zgromadzenia. Następnie referent przystępuje do objaśnienia punktu pierwszego porządku dziennego, w końcu stawia następujące rezolucye:

1) Do rejonu centralnego komitetu agitacyjnego, mającego swą siedzibę w Krakowie, należą obecnie następujące do organizacyi partyjnej przyłączone miejscowości w zachodniej Galicyi: Podgórze, Nowy Sącz, Zagórz, Biała. Nowemu Sączowi przydziela się wszystkie organizacye robotników kolejowych. Biale poleca się zorganizowanie robotników Żywca, Kent i Andrychowa.

2) Jako reprezentantów okręgów wybiera konferencya: dla Podgórza tow. Surmana, dla Now. Sącza tow. Zbigniewicza, dla Zagórza tow. Molickiego, dla Biały tow. Babickiego.

3) Każdy towarzysz, należący do partyi robotniczej, obowiązany jest składać tygodniowo po 3 centy na cele partyjne, z których 2 centy przechodzą na fundusz agitacyjny, a 1 cent na fundusz prasowy.— Połowa zebranych przez miejscowe komitety partyjne funduszów na cele agitacyjne winna być odesłaną na ręce centralnego skarbnika; zebrane zaś kwoty na fundusz prasowy odsyłane być winny całkowicie do redakcyi „Naprzodu“.

Nad rezolucyami temi wywiązała się dyskusya. Tow. Babicki przedstawiał stosunki bialskie i zaznaczył, iż tamtejsi towarzysze nie zgodzą się na obowiązkowe płacenie 3 centów. Tow. Heller zastrzega, iż 3 centy stanowią najmniejszą kwotę, wolno jest jednakże dać więcej. Tow. Zbigniewicz zapytuje, w jaki sposób odbywać się będzie kontrola.

Tow. Englisch odpowiada, iż co do kontroli, to najlepszym sposobem okazały się marki, i te nadal zatrzymujemy. Gdy jednakże dotychczasowa ustawa prasowa nawet sprzedaż marek podciąga pod paragraf o kolportaży, radzi być bardzo ostrożnym i proponuje, by marki mieli tylko członkowie komitetu i oni tylko kwitowali takowemi mężów zaufania po poszczególnych fabrykach lub warsztatach. Co się tyczy obowiązkowej wkładki, podnosi, iż raz przecie wyjść musimy z tego systemu żebractwa, jaki się obecnie uprawia i pobudzić robotników do własnowolnego wypełniania swych obowiązków i żywszego działania. Zaznacza dalej, iż dotychczas partye prowincyonalne nie ogłaszały sprawozdań kasowych z zebranych funduszów, co dłużej trwać nie powinno. Towarzysze powinni wiedzieć, co się dzieje z funduszami i na jakie cele obracane bywają. W tym celu stawia wniosek Rachunek z funduszu agitacyjnego i prasowego winien być regularnie co kwartał ogłaszany. Uchwała ta odnosi się tak do partyi krakowskiej, jak i prowincyonalnych komitetów partyjnych.

Po licznych wyjaśnieniach powyższe wnioski jednomyślnie przyjęte zostały.

Przystąpiono do punktu trzeciego. Na wniosek towarzyszy do komitetu centralnego wybranymi zostali: Scholz, Teller, Misiołek, Borowiecki, Jamka; jako zastępcy: Pawlikowski, Bryniarski. Centralnym skarbnikiem wybrany został tow. Białostocki.

Po załatwieniu wyborów przystąpiono do omówienia sprawy dalszego wydawnictwa organu partyjnego.

Pierwszy zabrał głos tow. Kurowski i zaznaczywszy cel organu i jego zadanie, przeszedł następnie do omówienia wniosku, nadesłanego przez tow. Molickiego z Zagórza, który żąda wydawania „Naprzodu“ jeżeli już nie codziennie, to przynajmniej co tydzień, poczem postawił następujące rezolucye:

1) Konferencya wyraża tow Englischowi, redaktorowi „Naprzodu“, najserdeczniejsze podziękowanie za sumienne prowadzenie pisma i zatwierdza go na rok 1893.

2) Jako honoraryum redaktora przeznacza się kwotę 10 złr. od każdego numeru na tak długo, dopóki pismo będzie dwutygodnikiem.

3) Do komitetu redakcyjnego wybiera konferencya: tow. Englischa, Borowieckiego, Białostockiego, Misiołka i Scholza.

4) Poleca się centralnemu komitetowi agitacyjnemu poczynienie kroków w celu wydawania „Naprzodu“ co tydzień.

Rezolucye te wywołały bardzo żywą dyskusyę, naturalnie przychylną, poczem po końcowem słowie referenta jednomyślnie uchwalone zostały.

Przewodniczący zarządza przejście do ostatniego punktu porządku dziennego: wnioski członków. Tow. Babicki proponuje utworzenie związku galicyjskiego stowarzyszeń robot. „Siła“. Wniosek ten postanowiono przedłożyć na kongresie krajowym.

Gdy nikt więcej głosu nie zabierał, przewodniczący zamknął zgromadzenie trzechkrotnym okrzykiem na cześć socyalnej demokracyi, który zgromadzeni z zapałem powtórzyli.

O godz. 4 wieczorem odbył się w lokalu Stow. „Siła“ wieczorek w celu ugoszczenia delegatów z prowincyi.

Kalwarja Zebrzydowska. Dawno już pragnęliśmy gorąco stanąć w jednym szeregu z robotnikami miast większych i za ich przykładem zorganizować się. Z początku szło trochę ciężko, dziś jednak robotnicy tutejsi poznali już, jak trzeba około własnych spraw chodzić i rąk nie opuszczać. To też w niedzielę odbyliśmy poufne zgromadzenie, na którem wyjaśniono cel i znaczenie stowarzyszenia. Rzecz przedstawiona przypadła tutejszym towarzyszom do przekonania, czego następstwem było, że uchwalono jednogłośnie założyć „Siłę“ jak najprędzej. Za kilka zatem tygodni posiędziemy własne ognisko, którego brak dawno już dawał nam się uczuwać.

Cieszyn. W ostatnią niedzielę odbyło się tutaj poufne zgromadzenie w celu założenia Stowarzyszenia robot. „Siła“. Towarzysz M. Kopciński, jako zwołujący zebranie, przedstawił obecnym dzisiaj panujące stosunki i straszną nędzę wśród robotników i dowiódł potrzeby założenia Stowarzyszenia. Zgromadzeni przyjęli tę propozycyę z ogromnym zapałem, oświadczając, że pracować chcą i będą z największem poświęceniem i ochotą dla sprawy robotniczej.

Nadmienić muszę, że wieść o założeniu stowarzyszenia robotniczego u nas, nie przypadła do gustu tutejszym fabrykantom, wiedzą bowiem oni doskonale, że głównym celem takiego stow. jest obrona wyzyskiwanych, którzy pracują tutaj od 16—20 godzin dziennie.

KRONIKA.

Dwa wieczorki w „Sile“ znów mamy do zanotowania. Nie podobna się oprzeć rosnącemu uczuciu radości, jaką w nas budzi powodzenie tych zebrań, zawsze tłumnych i wesołych. Jak to dobrze, że Towarzystwo o ich urządzaniu pomyślało, że znalazła się garstka chętnych towarzyszy, którzy nie szczędzą pożytecznego trudu na ich przygotowanie — i że nakoniec ogół członków tak ochoczo się na widowiska garnie — czem składa zarówno pochlebne świadectwo dla amatorskich produkcyi, jak i z własnej strony okazuje jawnie, iż życie w „Sile“ rozwija się jak najpomyślniej. Oby tylko jak najprędzej — co zresztą, jak wiemy, usilnem jest staraniem urządzających — nie poprzestawano w programie na samych rzeczach zabawnych a dawano także sztuki poważniejszej treści, odźwierciedlające życie naszej warstwy i jej dążenia.

Z pod strzechy wieśniaczej, z Borzęcina, otrzymaliśmy list następujący, ktory zamieszczamy bez zmian. „Łaskawy Panie Redaktorze! Chciałbym donieść Wam o naszem położeniu i przypomnieć, że ludzie cierpią nietylko w mieście ale i po wsiach. Taka u nas bieda, że strach pomyśleć. A niedosyć, że bieda, że nie mamy żadnego prawa, ani się za nami nie ujmie żaden prawdziwy przyjaciel ludu, bośmy niedopuszczeni do głosowania — to jeszcze jeden drugiego bez sumienia wyzyskuje, a mianowicie gospodarze, szczególniej bogatsi. Namówi taki do siebie sierotę do pasania i za byle co trzyma przez całe lato a skoro przyjdzie zima, wypędza na głód, na zimno, nieodzianego, nieobutego. Tak samo z sługą i parobkiem. Póki zdrowy, trzyma go, a jak zachoruje, do matki z nim — gdzie bieda, rzepą żyją i ognia nie mają z czego w piecu rozpalić, że aż się serce kraje. Tymczasem ksiądz z ambony gada skruszające kazania o doli ludzkiej, ale tego, co na wsi, nie widzi. Co innego owszem wypatruje: czy ludzie czytają i co?... Dopiero potem łajać z ambony! — a nawet do siebie niejednego wzywa i zakazuje czytać i schodzić się z takimi, co czytają. Grozi niedopuszczeniem do sakramentów — za największy zaś grzech uważa, kiedy ktoś czyta gazetki socyalistyczne, jak „Naprzód“; grozi, że z poczty numera zabierać będzie i niszczyć, zakazuje czytania i poleca, aby innym także odradzać, bo to ma być zgubne!... I tylko na myśl przychodzi, czemu on to, skoro taki o dobro ludzkie troskliwy, nie idzie tam, gdzie się biedakom krzywda dzieje i tam nie wejrzy. Nie! do biedaka się wtenczas tylko trafia, kiedy ze zbieraniem ofiary po wsi chodzą. Nie ma urodzaju, to wybierają od ludzi na ofiarę, ażeby Bóg dał urodzaj; są urodzaje — znów się wybiera na dziękczynienie; nie ma deszczu — ofiara, jest deszcz — ofiara znowu. I tak w kółko. Nie ma on tu jednak w rzeczach, które go nie obchodzą, posłuchu. Ludzie „Naprzód“ pomimo jego krzyków, czytają, chociaż nie wszystko im tu zrozumiałe, bo oni myślą, że robotnik, to tylko ten, co w mieście pracuje, nie wiedzą, że wszyscy my jesteśmy robotnicy, którzy życie całe spędzamy w znoju i w pocie czoła na pożytek próżniaków, mających pieniądze i majętności. Takie to rzeczy chciałem Szan. Redakcyi donieść przy tej okazyi, że nadszedł czas przepłaty, którą uiszczam i proszę nadal „Naprzód“ do naszej wsi posyłać pod temi samemi adresami ect.“ Dodajemy od siebie, że tak się dzieje wszędzie. Liche, starające się chłopa ogłupić, a przynajmniej w dawnej utrzymać nieświadomości piśmidła, popierane i subwencyonowane przez burżuazyę i stańczyków, nietylko cieszą się tychże sfer a więc i księży wiejskich względami — ale się je gwałtem niejednokrotnie chłopu wpycha, (jak np. „Krakusa“). Taka „Niedziela“, ostatni wyraz nędzy, jako gazetka ludowa, ponieważ aż do obrzydliwości jest klerykalną i wbrew interesom i godności chłopa stara się przemocą wmówić w niego, że ma obowiązek kroczenia ręka w rękę z dworem, to znaczy uginać przed „panami“, jak niegdyś, po niewolniczemu, karków — ta „Niedziela“ za własny ludu, w podatkach składany grosz krwawy, subwencyonowaną jest przez Sejm corocznie od lat dziesięciu sumą 3000 złr. Prawdziwie dyabłu na pociechę wyrzucono te 30000, bo zresztą chłop, tumaniony do czasu, nigdy tak, jakby tego chciano, ogłupić się nie da. Zdrowy instynkt ostrzeże, z której strony czyha nań zdrada.

Najżarłoczniejszy korsarz giełdowy starego i nowego świata opuścił ziemski padół. Jay Gould zmarł przed kilku dniami w N. Jorku. Miliony dobrze zasłużonych przekleństw odprowadziły go do grobu. Kiedy się przed 40 laty w gonitwie za szczęściem udawał do Ameryki, miał zaledwie 2 marki w kieszeni — w chwili zaś jego śmierci połowa linii telegraficznych i dziesiąta część kolejowych była jego własnością. Majątek jego wynosił więcej niżeli **tysiąc milionów!** A co też on uczynił przez cały ciąg swego życia?... Nic. Umiał tylko spekulować. Zaczął jak hyena, żyjąca trupami, skupując akcye upadłych i chylących się do upadku kolei — skończył jak smok kapitalizmu, pochłaniający wszystko. Dwadzieścia pięć linii telegraficznych koncentrowało się w gabinecie tego człowieka o obliczu drapieżnego ptaka a sercu kamiennem. Wszystko w tym potworze zabiła żądza pieniędzy, nie miał po za nią namiętności. Nie pił i nie palił. Każdego, z kim się zetknął, oszukiwał, nie oszczędzając nawet swoich wspólników. Ludzie przez niego odbierali sobie życie i popadali w obłęd. Tysiące swych robotników traktował jak niewolników, krew z nich wyciskał i rozkazywał ich ubijać, jeśli się bronili. Był to prawdziwy olbrzym łotrowstwa. Co niedzielę przecież chodził do kościoła z książką do nabożeństwa. Był jednym z najwspanialszych kwiatków dzisiejszego ustroju a istnym biczem cierpiącej ludzkości. Pogodnie i cicho zakończył swój żywot.

Od Redakcyi.

Na fundusz prasowy złożyli: Sąd polubowny —·50 S. H. —·20, „Tell“ —·10, N. Sącz 2·40, C. z N. Sącza —·40. Razem 3·60.

Towarzysze z N. Sącza na strejkujących drukarzy w Karyntyi 5·58.

Na fundusz agitacyjny: Puszkin —·87, Czech —·10, Puszkin —·40. Razem 1·37.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: JAN ENGLISCH.

W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.